

nożyczkami do paznokci próbowała odpruć rękawy od króliczego grzbietu, żeby dopasować strój do śródziemnomorskich potrzeb.

– Jestem dumna ze swoich umiejętności krawieckich – ripostowała półgębkiem. W kąciку ust trzymała już igłę z czerwoną nitką, którą zamierzała załatać blizny po operacji. Na koniec okręciła się przed Felipe na pięcie.

Musiał przyznać ze zdziwieniem, że futro nie ocieka krwią i nie zdradza, co musiało przejść, zanim stało się bezrękawnikiem.

Felipe ocknął się z zamyślenia. Stał przed dużymi szklanymi drzwiami, prowadzącymi do pustego, sterylnie białego wnętrza. Uniósł wzrok. „Biblioteka Zapachów” – głosił napis.

Kostyczna kobieta po pięćdziesiątce w kwadratowych oprawkach zaproponowała mu usługę stworzenia perfum przez asystenta Maestro. Felipe sięgnął do rodzinnego depozytu, z którego obiecał sobie nigdy nie korzystać. Kupił w ten sposób dwadzieścia minut cennego czasu samego mistrza. Dostał też jasny komunikat: na wizytę należy się stawić w wersji bezzapachowej, najlepiej na czczo albo po zjedzeniu neutralnych pokarmów, no i oczywiście punktualnie.

– Usługa nie obejmuje obecności osoby towarzyszącej. Zwłaszcza nałogowo palącej papierosy. – Usłyszał na koniec.

Zośka uwielbiała niespodzianki.

– Co takiego mi zafundowałeś, że nie mogę zjeść czosnku? – tropiła.

Felipe milczał. Przed torturami w postaci łaskotek schronił się w łazience. Zośka wzięła więc wolne w piaskownicy, żeby dowiedzieć się, co czeka na nią o godzinie 12.40 na ulicy La Rosaleda.

Aż klasnęła w ręce, gdy okazało się, że dostanie swój zapach.

Białe wnętrze zrobiło na niej chłodne wrażenie. „Jak opuszczony przez wiernych kościół” – pomyślała. Zanim rozwinęła tę myśl, do pomieszczenia wszedł żyłasty mężczyzna. Obrzucił Zośkę pobieżnym spojrzeniem. Usiadł w znacznej odległości za wysokim stołem. Skinął głową. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Jakie kolory pani lubi? – zapytał perfumiarz bez wstępów.

– Pomarańczowy i różowy. Najlepiej, gdy są razem – odpowiedziała.

Mężczyzna zanotował.

– Jakie tkaniny? – rzucił.

– Miękkie.

– Inne materiały – doprecyzował.

Zośka roześmiała się nerwowo.

– Chyba skórę. Tak, lubię zapach skóry.

– Jaki zapach panią koi?

– Dym z papierosa. – Zośka nie miała wątpliwości.

– Pali pani? – upewnił się.

– Nie, wążam.

Maestro po raz pierwszy spojrział na Zośkę, a nie ponad jej głową.

– O której pani wstaje? – dopytywał.

– Rano, choć wołałabym w południe. – Rozmarzyła się.

– Z jakiego kraju pani pochodzi?

– Z Polski.

– Jaki zapach tam dominuje?

– Chyba jaśminu... – Zastanowiła się Zośka. – Choć nie, zimą uderza zapach węgla walącego z kominów.

– Coś nowego. Powinienem się tam wybrać. – Odchrząknął.

Zośka nie zrozumiała żartu.

– Proszę do mnie podejść – zaproponował.

Gdy stanęła w odległości metra, pociągnął nosem. Wskazał ręką, że ma podejść bliżej. Powtórzył czynność.

Zośka potarła ręce. Były wilgotne. Czym się denerwowała?

– Jest pani wierząca? – zapytał, patrząc, jak pociera dłonie.

– Nie wiem. Tak, chyba tak. A to ważne? – odpowiedziała pytaniem.

– Chyba pani wie, czy to dla pani ważne – zauważył.

Zośce prezent zaczął wydawać się zbyt oryginalny.

– Proszę wytrzeć rękę. – Maestro podał jej białą bibułę. – Delikatnie – dodał, widząc, jak Zośka pożera wzrokiem cienki papier.

Zośka chciała mu oddać bibułę. Pokręcił głową.

– Proszę odłożyć na tacę przy wejściu. Moja asystentka skontaktuje się z panią, gdy perfumy będą gotowe – powiedział i wstał, sugerując, że dwadzieścia minut dobiegło końca.

– A wążanie i mieszanie mikstur? – zapytała Zośka, rozczarowana.

– Asystentka do pani zadzwoni. W ciągu kilku miesięcy. Do widzenia – powiedział i zniknął za szklanymi drzwiami.

Zośka opuszczała Bibliotekę Zapachów oszołomiona.

Gdy Felipe zobaczył jej minę, zabrał dziewczynę na churros i gorącą czekoladę.

– Przepraszam – powiedział i pocałował jej grzywkę. – Prościej było kupić sukienkę z falbaną.

– Sukienkę? Myślałam, że wolisz mnie rozbierać. – Roześmiała się.

Wrócili na miłosną sjęstę do domu. Zośce urodziny się podobały. Martwiła się tylko, że od jutra będzie starsza. I to o cały rok.

Gdy następnego dnia zadzwonił telefon z Biblioteki, Zośka nie kryła zdziwienia. Cieszyła się, że prezent

się zmaterializuje, ale powątpiewała, czy skrócenie kilku miesięcy pracy do jednej doby wyjdzie perfumom na dobre.

– Maestro zaprasza na spotkanie. Proszę wskazać godzinę. – Usłyszała suchy głos.

– Czyli że Maestro dopasuje się do mnie? – zdziwiła się Zośka. – Dzisiaj nie mogę, ale poniedziałek jest dla mnie okej – dodała szybko.

Gdy przyszła, Maestro się do niej uśmiechnął.

– Rzadko mnie coś jeszcze zaskakuje – powiedział, jakby się tłumaczył. – Ludzie pachną jak klasy: robotnicy, kierowcy, studenci, młode matki, urzędniczki. Pani pachnie indywidualnie. Biedni pachną cebulą i mięsem; bogaci botoksem zatrzymującym pocenie. Pani pachnie jak idea. – Zakończył swój krótki wywód.

Zośka czuła się mile połączona.

– Po polsku brakuje tylko „I” do ideału – zażartowała.

Maestro nie zareagował. Chciał od razu przejść do rzeczy.

– Czy zechciałaby pani wypisać, jakie leki bierze, w czym się myje, jakich kremów używa oraz swoje menu z ostatniego tygodnia. Składniki, przyprawy. Wszystko – poprosił.

– Teraz? – zapytała Zośka.

Skinął głową.

– Jeżeli byłaby pani taka uprzejma.

Z lekami poszło szybko, bo nie brała żadnych. Uznawała wyłącznie aspirynę, a i to w przypadkach najgorszego bólu. Jedzenie zajęło dwie kartki. Uwielbiała jeść. Najlepiej słone i słodkie naraz. U Tołstoja przeczytała, że arystokracja je, żeby zająć czas. Lud, żeby się najeść. Ona była ludem.

Gdy skończyła, podała Maestro kartkę.

Uniósł brwi. Odłożył zapiski.

– Dziękuję. Mam do pani jeszcze jedną prośbę. Chciałbym powąchać pani pot – powiedział, tak jak inni proponują kawę. Zauważył wahanie na jej twarzy. – Zapłacę – dodał. – Pani narzeczony nie musi wiedzieć. – Spróbował z innej strony.

Zgodziła się. Może zbyt pochopnie, bo kiedy nos tego mężczyzny wylądował w jej pasze i świdrował ją, niemal przewiercał, zachciało jej się wymiotować.

Po seansie otuliła się rękami jak zbroją i wybiegła.

Dwa miesiące później w domu czekała na nią mała paczuszka. W różowym pudełeczku wyłożonym pomarańczową skórą leżała flaszeczka perfum. Zanim ją otworzyła, przeczytała wiadomość na eleganckiej kre-dowej wizytówce:

Dominujący zapach to róża. To powszechny symbol świętości. Dziękuję Pani za mistyczne przeżycie. J.W.A.

Gdy otworzyła buteleczkę, rozplakała się. Poczuła, jakby Maestro rozebrał ją na czynniki pierwsze, zajrzał do wnętrza każdej komórki, zrobił intymne zdjęcie serca. Prawie zakręciło jej się w głowie, gdy poczuła, jak zapach z flakonika przenosi ją na huśtawkę w ogrodzie dziadka, potem do stodoły, gdzie dziadek wyciąga do niej rękę. Poczuła błogość.

– To jest mój dom – wytłumaczyła Felipe, gdy wrócił do mieszkania i próbował zrozumieć, dlaczego, opatulona w królika, siedzi na podłodze i płacze. – Dziękuję – dodała i pocałowała go.

Felipe zamówił drugi flakon dla siebie. Chciał mieć Zośkę zawsze przy sobie. Zwłaszcza teraz, gdy wysyłali go na zdjęcia do Meksyku. Na cztery długie miesiące. Miał fotografować zmiany w kraju po podpisaniu porozumienia partyzantów z rządem.

– Po prostu powiedz im, że nie możesz – prosiła Zośka. – Skłam, że masz dziewczynę w ciąży albo upośledzoną. Cokolwiek! – Gdy pokręcił głową, rozejrzała się po szarzącym w oczach mieszkaniu. – I co ja mam tu robić bez ciebie? – jęknęła.

– Przygotowywać nasze wspólne szczęśliwe życie – poprosił.

Wyjechał dzień przed sylwestrem. Zośka rok 1996 witała na Puerta del Sol sama, choć otoczona międzynarodowym tłumem, który po wzniesieniu toastów rozbijał

puste butelki o miejski bruk. Poczowała ukłucie na podbródku, które skojarzyło jej się z użądleniem pszczoły. Gdy dotknęła ręką piekącego miejsca, rozmazała sobie coś mokrego na brodzie. Sięgnęła po chusteczkę i wytarła krew. Gdy zobaczyła, jak kolejne krople zaczynają kapać jej na rękę, zemdląła. Ocknęła się w jednej z karetek zabezpieczających imprezę miejską. Do pustego mieszkania dotarła po pierwszej i walnęła się do zimnego łóżka, żalując, że gdziekolwiek wychodziła. Madryt odmienił się w jej oczach w jedną noc. Nie był już tym radosnym, rozświetlonym miastem z tysiącem możliwości, tętniącym muzyką i gwarem. Stał się poczekalnią.

Od tej pory Zośka chodziła po mieście ze spuszczoną głową. Nie mogła znieść widoku zakochanych i całujących się par. Najgorzej było w weekendy. Mieszkanie przestało być schronieniem. Przebywanie w nim przypominało owijanie zmarzniętego ciała dziurawym, szorstkim kocem. Jedyne momenty, gdy Felipe dzwonił, żeby opowiedzieć jej o życiu w Meksyku, wybijały ją z letargu.

– Tu jest taka energia – opowiadał. – Wszystko aż się kotłuje: przyroda i ludzie, bieda i luksus. W porównaniu z Meksykiem Europa jest stara i zmęczona. Musimy mieć dzieci, żeby ją jakoś ożywić. Dużo dzieci. Zgodzisz się?

Zośka pokiwała głową wzruszona. Czy chciała mieć dzieci? Broń Boże! Po ośmiu godzinach przez pięć dni

w tygodniu spędzonych w ich towarzystwie pragnęła widywać wyłącznie dorosłych. Zresztą sama jeszcze czuła się dzieckiem. Oczekiwała, że będzie rozpieszczana, tulona i podziwiana, ale w snuciu planów na ożywienie Europy było coś ekscytującego. Myśl, że na świecie pojawiłaby się istota będąca kopią jej Hiszpana, powodowała ucisk w dołku. Wyobrażanie sobie Felipe jako ojca jej dziecka stało się dla Zośki nowym hobby. Dzięki temu cztery miesiące przestały straszyć swoją nieskończonością.

Powrót Felipe oznaczał zmartwychwstanie Madrytu. Miasto znowu zaczęło się uśmiechać do Zośki. Codziennie odwiedzali galerie, włóczyli się po kawiarniach lub obserwowali zawody starszuchów grających w boule. W każdym zaułku ciasno objęci, spleceni lub ocierający się o siebie. Zośka nie myślała, że można czuć taki głód czyjejś obecności. Teraz syciła się Felipe na zapas.

– Wystarczy! – Śmiała się, zasłaniając obiektyw, gdy robił jej tysięczne zdjęcie do kolekcji.

– Mnie nigdy nie wystarczy – odparł i pocałował ją w czubek głowy, po czym podniósł aparat i zrobił zdjęcie przechodzącej kobiety.

W Zośce błysk flesza uruchomił kaskadę myśli, które zatrzymały się dopiero na strasznym słowie ZDRADA. Próbowwała zaciągnąć w sobie hamulec, który mógłby zablokować jej histeryczną reakcję. Odruch gadziego

mózgu był jednak silniejszy. Bez słowa uderzyła Felipe w twarz. Aż mu pociemniało w oczach. Gdy się otrząsnął, zobaczył przed sobą zimne jak stal oczy i zaciśnięte gniewem usta Zośki.

– Jeżeli planujesz wychowywać dzieci w trójkącie, to nie ze mną! – warknęła i szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Felipe dopiero po chwili zrozumiał.

– Jesteś zazdrosna? – zapytał, kiedy ją dogonił.

Zośka spurpurowiała. Wolałaby dać się zakopać żywcem, niż przyznać, że uroda innych kobiet jest w stanie popchnąć ją do rękoczynów.

– Zazdrosna? Jesteśmy z innych światów! Nie widzisz tego? Inaczej pojmujemy moralność, wierność, miłość. To nie ma sensu. Pakuj się. Nie, to ja się spakuję! – Zakończyła swój skrótowy wykład z filozofii życia, po czym wybuchła płaczem.

Taki gejzer łez Felipe widział dotychczas wyłącznie w kreskówkach i sądził, że jest to duże nadużycie ze strony scenarzystów. Łzy leciały z jej oczu na wszystkie strony, a zaraz za nimi gluty z nosa.

Zośka bezradnie zaczęła szukać nieistniejącej chusteczki. W końcu została jej tylko ucieczka.

Felipe zabrakło refleksu, a może uważał, że sytuacja jest bardziej komiczna niż groźna. Gdy się zorientował, że Zośka nie żartuje, mieszkanie było zabarykadowane.

Nie zamierzała zostawić w nim żadnego śladu po sobie. Gdyby mogła, zerwałaby podłogi i obdarła ściany do cegieł, żeby nie zachowało się nawet wspomnienie ich wspólnego życia.

Po drugiej stronie drzwi Felipe uruchomił swoje największe pokłady empatii i zdolności negocjacyjnych. W odpowiedzi słyszał jedynie krzyki rannego zwierzęcia.

Po kilku godzinach tego huraganu emocji w końcu się poddał. Zszedł do samochodu, skąd wrócił z ciężkim lewarkiem.

Zośka tymczasem ochłonęła. Sprzątanie było jej lekarstwem na bałagan w głowie.

Gdy można już było jeść z podłogi, zaczęło ją dręczyć pytanie: „Może przesadziłam...?”. Szybko odpędziła od siebie niedorzeczne myśli.

– A co ja takiego niby zrobiłam? – fuknęła, oklepując opuchnięte od płaczu powieki.

Gdy doszła do wniosku, że może nieco zbyt emocjonalnie zwróciła ukochanemu uwagę na swoje konserwatywne pojmowanie związku, Felipe wtargnął do mieszkania razem z drzwiami.

Nie złościła się, że wióry z ościeżnicy obsypały świeżo zmytą podłogę. Zwłaszcza że Felipe zaproponował, żeby wyszła za niego za mąż.

– Przepraszam. Jestem głupi. Kocham cię. Nie zabieraj mi siebie – dodał jeszcze.

Zośka nie wiedziała, czy w ten sposób usprawiedliwia stan ich drzwi wejściowych, czy fotografię na ulicy. Nie miało to znaczenia. Wybaczyła mu wszystko.

Tegoroczna wigilia miała być dla Felipe okazją do poznania rodziców Zośki. Mieli też ustalić plany weselne.

Zośka trzydniową podróż samochodem do Polski umilała mu opowieściami o nowosądeckich obyczajach. Dla matki istniało kilka świętości. Jedną z nich było przełamanie się opłatkiem przy blasku pierwszej gwiazdki w gronie rodziny. Niestety dziadek nie uznawał świąt poza swoim domem.

– Nie dam się truć tym waszym cholernym kaloryferom – argumentował rok po roku, na szali kładąc swoje przywiązanie do świeżego wiejskiego powietrza.

Fakt, że wałęsa się kuchnia węglowa pompowała większość dymu z powrotem do wnętrza, nie stanowiła dla niego kontrargumentu. Trzeba było więc zwieźć wszystkie barszcze, uszka, pierogi, kapusty i makowce do podupadającej po śmierci Babelli chatki i świętować w spartańskich warunkach.

Co roku na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem matka zakasywała rękawy i kleiła na zmianę uszka i pierogi. Wpadała w trans, z którego nikt nie był w stanie jej wyrwać. Kuchnia przypominała średniej